

Dzieła zabrane

AUTOR: ADAM KAROL DROZDOWSKI

Zamiast pastiszu sienkiewiczowszczyzny przedstawienie Jana Czaplińskiego i Anety Groszyńskiej okazuje się być traktatem o trudnym, świadomym patriotyzmie.

■ Był już taki czas w historii Polski, kiedy polityka kulturalna skupiona była wokół słowa „naród” – dokładnie sto lat temu. Po odzyskaniu niepodległości kształt nowej, narodowej i tożsamościowotwórczej sztuki był tematem palącym; poczytne pisma, jak tygodnik „Świat”, rozpiswały ankiety, w których fantastyczne i przerażające niekiedy wizje tej-że snuli najwięksi autorzy swojego czasu. Zbiorową wyobraźnię wciąż rozpalał zaś Henryk Sienkiewicz, który sam 1918 roku nie doczekał. Ba! pewnie wręcz to jego pisarstwo na oścież otworzyło bramy sztuce narodowej. Jego sukces, poparty w 1905 roku Nagrodą Nobla, osiągnął nadszpiewane rozmiary – uwielbiano go w całej Europie, doceniano na świecie. Tego samego Sienkiewicza, którego dorobek staje się dziś trudny do przebrnięcia dla młodocianych czytelników. To my jego autorstwa, mimo że nieczytane, stoją dumnie na półkach w polskich domach.

Taki mniej więcej obraz malują od samego początku twórcy przedstawienia. Nic dziwnego, że podtytuł spektaklu *Sienkiewicz Superstar* brzmi: *zupełnie spóźniona anegdota biograficzna na chwalebny okazję stulecia odzyskania niepodległości*. Okazja chwalebna, bo po stu latach proniepodległościowa narracja, choć przeinaczona, wróciła do łask. Anegdota – bo twórcy przedstawienia nie uzurpują sobie praw do znawstwa Sienkiewicza, ale poprzez anegdotyczną fantazję o nim mówią niemało o dzisiejszej Polsce. Spóźniona – bo cóż z tego, że *post factum* zastanowimy się, co spowodowało, że Sienkiewicza nie czytamy, ale nim myślimy? Zaczyna się więc spektakl dowcipną sceną Narodowego Dnia Czytania, kiedy to Pan Prezydent zamierza odczytać fragmenty z Sienkiewicza, a Pierwsza Dama usłużnie trzyma gazetowe wydanie jego *Dzieł*

zebranych. Dla niej liczy się szacunek do twórcy, który każe skompletować cały zbiór, tak, żeby ułożone kolejno grzbiety ujawniły pełen napis „Henryk Sienkiewicz”, a nie na przykład niepoważne przez niekompletność „Ryk Sik”. Głowę państwa wzrusza z kolei, kiedy przypomni sobie scenę śmierci Wołodyjowskiego, pięknie w filmie pokazaną, i wie, słuchając podczas joggingu nagrań szumu husarskich skrzydeł, że nie na darmo ta śmierć, że ojczyźnie się przysłużyła. Doprawdy, czytać trzydziestu grubych tomów nie trzeba, żeby to zrozumieć.

Niewiele się zmieniło przez ostatnie sto lat, poza tym, że wtedy, owszem, czytano – chłopcy po dniu pracy w polu szli na pocztę, żeby wysłuchać kolejnych odczytywanych odcinków Sienkiewiczowskich powieści – ale z podobnym brakiem zrozumienia. Stąd kiedy noblista zaproszony zostanie do wmurowania kamienia węgielnego pod budowę szkoły jego imienia w Zbarażu, mieszkańcy pogonią go w diabły i do budowy nie dopuszczają – bo *zbezczeszczone* by grób Podbięty, który na pewno tam się znajduje. Sienkiewicz nie będzie oponował, w końcu sam pana Longinusa do życia powołał – a skoro bliższy stał się sercom rodaków niż potrzeba edukacji? Tej sile trudno się przeciwstawić. I cóż, że tamtejszy chłopiec, Janko Muzykant, jakich wielu w zniewolonym kraju, a nad jakimi w swoim pisarstwie noblista się wszak pochylał, pozostawiony zostanie sam sobie? Sienkiewicz-marka staje się więzieniem dla Sienkiewicza-pisarza, myśliciela, patrioty, co wydaje się być naturalną ceną sukcesu. Sam zresztą przyznaje, że pisze tylko powieści przygodowe dla chłopców, ale konstatuje gorzko: „Ulepili mnie / z potrzeb swoich / i w pomnik zamkną”. Wymogi gatunku i oczekiwania czytelników trzymają go w klatce szablonowego

myślenia: nie może dopuścić, żeby to Ukraińiec Bohun wygrał pojedynek ze Skrzetuskim, bo go czytelnicy „z torbami pogonią”.

Ciekawie poprowadzona jest postać głównego bohatera. Twórcy konsekwentnie unikają oceniającego tonu; pisarz jawi się więc zarówno jako sympatyczny, roztrzepany artysta, furiat, mizogin i ksenofob, szczerzy patriota, rozgrzewany myślą o niepodległości ojczyzny i szukający sposobów narodowego zjednoczenia, ale i jako koniunkturalista i egocentryk. Nie sposób jednoznacznie go opisać – i w tym tkwi siła wałbrzyskiego przedstawienia, mającego przecież być komentarzem do rzeczywistości, w której wyroki feruje się zbyt łatwo. Podobnie wielostronnie traktowane są pozostałe postaci dramatu oraz okoliczności, w jakich przyszło im decydować o sobie – czy może: o tym, jak zostaną zapamiętane. Naturalną kolejną rzeczy pojawi się więc w spektaklu i Jerzy Hoffman, który, niezależnie od wielkości dorobku, pozostaje w szerokiej świadomości przede wszystkim reżyserem filmowych adaptacji Sienkiewiczowskiej *Trylogii*. Twórcy stawiają go w sytuacji rozmowy z Ministrem Kultury, który ze względu na żydowskie korzenie reżysera nie wyraża zgody na żadne autorskie wypowiedzi o współczesnej Polsce – ale już Sienkiewicz jako materiał jest dość bezpieczny, żeby produkcję uruchomić. Hoffman ma do wyboru: zrealizować tę adaptację, przed czym się wzdryga, albo nie istnieć. Żyć trzeba, więc decyzja jest oczywista.

Parodystyczna sekwencja kręcenia *Trylogii* jest chyba najjaśniejszym punktem spektaklu, jeśli chodzi o tempo, dowcip – bardzo już gorzki, o prowadzenie aktorów; Daniel Olbrychski fenomenalnie sparodiowany przez Rafała Kosowskiego nie tylko wywołuje salwy śmiechu, ale przede wszystkim każe się zastanowić nad

TEATR DRAMATYCZNY
IM. JERZEGO
SZANIAWSKIEGO
W WAŁBRZYCHU

Sienkiewicz Superstar
Jana Czaplińskiego

reżyseria
Aneta Groszyńska
dramaturgia
Jan Czapliński
scenografia, kostiumy,
światło
Tomasz Walesiak
muzyka
Jerzy Rogiewicz
ruch sceniczny
Mikołaj Karczewski

premiera
23 lutego 2018

Scena zbiorowa



fol. Bartek Warzecha

wciąż żywym kulturowym konstruktem, który twórcy spektaklu określają jako „wymachiwanie szabelką”. Zresztą cały wałbrzyski zespół wspaniale odnajduje się w tej opowieści i w estetyce *Sienkiewicza Superstar*, nie tracąc ani na moment swady mimo ciągłych zmian postaci – każdy ma tu przypisanych kilka wyrazistych ról. Nie do zapomnienia jest Janko Muzykant, w interpretacji Sary Celler-Jezińskiej będący wiecznym tricksterem, pozostającym poza wszelkimi dyskursami i przez to rozszarpiającym je od środka, zasmuca diagnoza rzeczywistości wpisana w postać Prezydenta, a z dużym wyczuciem przeprowadzona przez Michała Kosełę, wreszcie Filip Perkowski jako Sienkiewicz prowadzi swoją postać bardzo konsekwentnie i z wyraźną świadomością ciężaru, jaki spoczywa na jego – tak aktora, jak i postaci – barkach. Groszyńska zrobiła tu szlachetną robotę: jej reżyseria jest schowana, nienarzucająca się, ale po klarowności przebiegu i komunikatywności – gestego i wbrew pozorom niełatwego – tekstu Czaplińskiego rozpoznać można, że konstrukcję spektaklu trzymała pewnie w rękach. Drobne przesunięcia poczynione wobec pierwotnego scenariusza uporządkowały dialektyczną myśl, łatwą do zgubienia we fragmentarycznej narracji.

Najmocniej dyskusja z Sienkiewiczowską wizją Polski wybrzmiewa w scenach, gdzie w słownych potyczkach mierzą się z noblistą

Stanisław Brzozowski, Stanisław Przybyszewski i Zofia Nałkowska. Ci troje stoją po stronie lewicowego postępu, odcięci od anachronicznej tradycji Pierwszej Rzeczypospolitej, ale mimo wyrazistej wizji (Przybyszewski), pogłębionej myśli (Brzozowski) i intelektu (Nałkowska), wobec braku talentu do pisania rzeczy popularnych, ich idee pozostają wołaniem na puszczy. Podobnie rzecz ma się w scenie dialogu Sienkiewicza z Emilem Zolą, w którym na jaw wychodzi, jak bardzo Zachód nie rozumiał uwarunkowań wynikających z zaborów i nieobecności Polski na mapach. Tudzież: jak bardzo Zachód nie rozumie meandrow polskiej mentalności także dziś – co powoduje, że polityczna lewica wciąż we współczesnej Polsce praktycznie nie istnieje. Dziś nadal Pierwsza Dama stoi u boku Pana Prezydenta, trzymając na twarzy uśmiech, a w rękach trzydzieści tomów *Dzieł zebranych*, martwiąc się tylko w duchu, czy aby na grobie nie napiszą jej jak żonie Sienkiewicza: „umiejąca zawsze stanąć na uboczu”. Bohun nadal pokonywany jest w pojedynku, tyle że walka toczy się o status gospodarczy i społeczny, więc bohater personifikuje się na nowo w pomiatanej ukraińskiej sprzątacze, wytrwale myjącej podłogi w pałacu, będącym miejscem akcji całego przedstawienia.

Tak oto Łazienki Królewskie, w których odbywa się Narodowy Dzień Czytania, stają się przestrzenią nietypowego seansu spirytystycz-

nego, podczas którego wywoływane są duchy polskich mitów, a z nimi demony – kompleksów, antagonizmów, ksenofobii. Pałacowe wnętrza nie muszą wcale być ani Łazienkami, ani nawet Oblęgorkiem – są za to wizualizacją snu o Rzeczypospolitej szlacheckiej, punktem tożsamościowego odniesienia dla dawno już nieklasowego społeczeństwa, w którym wszyscy, od szeregowych zjadaczy popkultury po elity rządzące, znienacka zaczęli identyfikować się z dawną klasą wyższą. Ale czy wszyscy? Jak wyrzut sumienia powraca w różnych momentach przedstawienia Janko Muzykant, ten sam, który nie miał szansy trafić do niewybudowanej szkoły w Zbarażu, a który w kolejnych odsłonach będzie równie biednym Ślązakiem, Góraliem, Mazurem. Który, zamiast ćwiczyć na skrzypkach, ukradł bogatym dzieciom gitarę basową i zaczął grać punka. Który wreszcie chciał kiedyś wygrać Konkurs im. Henryka Wieniawskiego, ale dobrze się stało, że przez brak wykształcenia nie mógł się zgłosić, bo podobno Wieniawski to Żyd. Dziś Janko znalazł swoje miejsce w organizacji młodzieżowej, wszystko jedno pod jakimi sztandarami, pełni wartę. On żyje, a Sienkiewicz nie. I chociaż noblista w tekście Czaplińskiego tłumaczy się, że kiedy mówił „naród”, miał na myśli „wspólnota”, żaden Janko już go nie wysłucha. Łatwiej buduje się tożsamość w oparciu o wroga, gdy tyłu już wcześniej machało nań szabelką. ■